

POWIEŚĆ i NOWELA

WINCENTY BUREK

DROGA PRZEZ WIEŚ

Zbiór opowieści W. Burka „Droga przez wieś”, który ukazał się nakładem „Raju”, wzbudził wielkie zainteresowanie czytelników i uzyskał niezmyknie pochlebną ocenę prasy. Wybrane z tego zbioru opowiadanie zamieszczamy poniżej, w przekonaniu, że zapoznanie się z młodym, świeżym talentem pisarskim W. Burka zachęci naszych Czytelników do poznania całej jego „Drogi przez wieś”.

POŻEGNANIE Z ZIEMIĄ.

1.

W mówieniu Marcina Krysa nie biedolila skarga. Dzisiejsza wsiowa dola nie pobruździła mu twarzy łepym kozikiem zgryzot i frasunków. Nie zbielały mu włosy, nie pogarbił się grzbiet. Jak zawsze, jak odmłodu — dzielnie stawał w każdej jednej bitce z przeciwnością, nieugięty, mocny, odważny. Zuch — chłop: Marcin Krysa.

Gospodarował na niewielu morgach. Ale idź, i obacz tam, na Ocinku, co się to wyprawia w obejściach tych niedawno jeszcze tuzów, bogaczy i bunotów zapomnianych. I przyrównaj tamtych do Marcina Krysy. Zmierz ich rozległe kmiece włóki miarą Krysowego szczupłego zagonu. Przyłóż te pomordowane, zettale w zniszcie postacie do wyglądu zucha, co się nie dozwolił bidą zatłamsić. I ostał — jak był: hartowny, zaradny, zasobny. Dąb, nie chłop: Marcin Krysa.

— Jak to jest, jak to może być — cudowali się niejedni, i w głowę zachodzili, i roztropnie rozbięrali w pospólnem obgadywaniu ów sposób gospodarstwa, tyle skuteczny dla Marcina. — Jak to może być, żeby się tak wiedło i było wszystkiemu nawspak. I na małych morgach do tego...

Dziw — dziwem, ale przecie nie mogło być inaczej, niż było. Nie mogło być inaczej i źle, bo na tych małych morgach włodarzył nie kto inszy, ino ten właśnie Marcin Krysa. Gospodarowała głowa mądra i zabiegliwa, harowały ręce sposobne i umiejętnie, chodziły za robotą nogi nieużyte i czerstwe. Rostropna myśl Marcina Krysy dawno już pojęła widomą prawdę, że o chudobę w oborze starać się trza i chować jej jaknajwięcej. Plon z pola nie opędzi wszystkiego i zachyłku w gotowym groszu niewiele ostawi. Patrzenie w rolę dobre było za dawnych czasów, kiedy stare pokolenia i ziemi miały wiele i rozchodziły mniej. A dziś jakże odmienił się gospodarski sposób. A za tą odmianą musi pójść insza rada i insze starania około pożytku. Marcin Krysa pochwycił tę radę użyteczną i wprędce wy kierował ją tak skutecznie, że w oborze miał rasowe bydło, stadzinę spaśnej trzody, najlepsze nioski w kurniku, chmurę ge-

si w zagacie. Grosz niezgorszy zbierał mu się coroku rozmaitym przychodem, grosz dopomagał na te i tamte ulepszenia i naprawy w polu i w zagrodzie, grosz rozpleniał grosz i wynosił Marcina Krysę w szczęście, w dobro i w chwałę ponad sąsiadów. Marcin Krysa był najszczęśliwszym chłopem na Ocinku. We wszystkiemu mu się darzyło niezwykajnie, dziecka dorodnie się odchowały i były walną wyręką i posługą, baba pasowna w umiejętnościach pola i domu, przygód złych nie było, zniszty tutaj nie zalazły, kłopoty tutaj się nie tłukły. Szczęśliwy poprawdzie człowiek: Marcin Krysa.

— Marcina Kryse w cepku z rzyki babka na świat przyniesła — tłumaczyła se wieś sąsiadowe szczęście. I ta wiara ludzka żyła na Ocinku, silna i długa w przeciągu czasu. Bo nie jej nie zmogło i nie podważyło ze stałego miejsca. Nawet kolenije.

Kiedy po długich korowodach, prawach i mordęgach wypadło wsi przyjąć ten nowy obyczaj na polach, wszyscy wtedy pogadywali to jedno:

— Chybnął Krysa na kolenijach, chybnął nasceć. Za dobre downe pola dostał tyła paskustwa, taką górę gliny. O, urwie mu się teroz, już styrech krów nie uchowo, nie...

Nie inszego zdania była baba wespół z dzieckami. Narzekaniom i labiedzeniom nie było końca w chałupie. Kobicie i tym młodym zdawało się, że już się gospodarka zwieruszy i znisiecieje. Cała wieś o tem gada przecie, obżałowuje i nie dobrze na nowym dziale nie przepowiada. A jak wszystek naród na jedno zgodny, to musi widać czaść się na tej paskudnej kolonji samo zło i szkoda nieodwrócona. Oj, nadeszła bida, i to z której strony!

Marcin Krysa jakoś weale nie brał sobie do serea ani domowych skarg, ani pożałunków wsi. Nie widać było z jego miny, żeby się zmartwił tym obrotem z polami. Podawnemu wyglądał bucznie i wesoło, cichy zwyczajny uśmiezek nie sfruwał mu z warg, zaś w oczach przeświływało coś podobnego na zuchwały upór i w rysach twarzy wybijała się jakaś dumna hardość i wola. Jak wtedy zawsze, kiedy brał się za nowy zamysł i odmianę.

— Niech gadają, co chcą — odpowiadał kobiecie, kiedy mu naznosiła od kumoszek tych złych ludzkich zdań o kolonji. — A jo pokoze, że krzywdy nie będzie. Jesce mi pozozdroscą, zobocys.

Zobaczyła wnet wieś, jak się zabierać do potnej roboty w podłym gruncie. Marcin Krysa pokazał wszystkim, że tu nie szkodę będzie miał, ale pożytek nieladajaki. Szkodę mieli ci tutaj przedtem, co robili na wąziutkich półkach, — nieobrobnych i niezdatnych do właściwej orki i doprawy. Teraz w kolonji, na dużym obszarze, łatwo wyorać grunt akuratnie, łatwo zajeżdżać plugiem z różnych stron, i tak, żeby było dla siewu i roli najlepiej. Nie spartaczył nic nigdzie, ziemię wyrobił do najpożyteczniejszego skutku, dowiózł wszędzie gnoju, poproszył nawozem, zasiał umiętnie i — na przednówku musiał wysłać domowych na pole, żeby zżynali wierzechołki zbóż, bo się buiły ponad miarę. A we żniwa leżały po górach garścię wedle garści. Sute mendle rozpowiadały żalośnikom zwysoka, że Marcin Krysa opłynie w plony weale nie goraze od tamtych z poprzednich swoich lat. Że nie było co bidzić nad zuchem, któryby na litej zozdze i pałydze posiał, i jeszczeby mu się opłaciło sowicie. To więc kręcili głowami, dziwcowali się serdecznie i zazwyczaj zapierali pogwarkę zawsze tem jednym:

— Carownik un, nie człowiek.

A czarownik Marcin drugiego już lata nie zmieścił wszystkiego zboża w stodole. Na oborze jedna kopka, a poza stodołą druga — wielbiły chwałę gospodarza, plenny zabieg jego głowy i rąk, i dobroć wyraźną pól. Ludziom wierzyć się już nie chciało. Podziw okólny gęby zamykał.

Tego roku po żniwach widziało się Marcina Kryse, jak często chodził tam i sam u skraj swowej kolonji, w miejscu, gdzie miękkim, równym ukłonem zaczynały się jego grunty pobok drogi. Spory płacheć pola był ozdobą kolonji. Bywały tu dawnymi czasy ogrody warzywne — najprymniejsza popielatka sprzyjała burakom i marchwiom. Dzisiaj leci tędy nowa droga, wylazi równo po maławym stoku i dzieli czoła kilkunastu nowym działom naprzeciw leżącym. Najlepsze tu miejsca pod stawiankę. Opodał szosa, zaraz za nią wieś Wysiadłów, a tuż przy drodze są wyborowe ziemie, i jest blisko do wody, bo miejsce niskie. To całe okole aż się prosi, żeby je zabudować, za-drzewić, wykorzystać na delikatny plon. Już stoją ano pierwsze pobudynki wpędłuż drogi i czekają na dalszych sąsiadów.

Marcin Krysa na jesieni niczego nie nasiał na sporym splachciu ziemi przy drodze. Powbijane w rozmaitych miejscach kolki powiadały o nowych zamysłach gospodarza. A gospodarz kręcił się tu aż do pierwszych śniegów, oglądał owe miejsce, rozważał. W jego oczach i całej twarzy leżał ten wyraźny znak, co zazwyczaj mówił o wykluwaniu się skutecznego zamiaru: twarda, harda wola.

2.

Właśnie miesiąc luty święcił drugą swoją niedzielę. I ten — ci owóż dzień niedzielny unykął skorym krokiem w pomrokę zimowej, rozległej nocy. Dzień, powleczoney przykrym markotem ziąbku i martwicy, ożywał się ino co i raz silniejszym chuchem wiatru i skocznym tańcem podrywanych śniegów. Wieś przycupnęła w spokoju święta,

milkliwie leżały drogi i zachalupia. Popiół nieba, coraz silniejsze zawiewy wiatrów i zaspys śniegu wypełniły świat. A o zmroku już wepchnął się tu rozbrykany wicher i zaczął dokazywać. Zatrzęsły się węgły, zaskrzypiały budynki i drzewa. Noc przyszła na barach rozhuku, świstu i jęku wichury.

Marcin Krysa nigdzie na odwieczersu nie wychodzi, choć lubił przepędzać niedzielne popołudnia pośród sąsiadów gdzieś na wsi. Dziś było mu jakoś dziworacznie na duchu, osobliwy zgryz i mąt w myślach posadził go w chałupie. Na dobitkę jeszcze wojenny postrzał w nodze poczał siepać i dokuczać. „Oho, będzie odmiana w pogodzie“ — wróżył sobie z boleści. Kobiata i dziecka wyniosły się wcześniej na hajtki, ostał sam w chałupie. „Trza się cem zatrudnić, żeby się nie matyjasilo“ — pomyślał. Więc wyjął ze skrzynki grubą książkę i popróbowował się rozerwać czytaniem. Z sykiem swego bólu i w żalości duszy nad losami Jędrka Połańca z Wiktorowej opowieści zanurzył się na spory przeciąg czasu w tym czytaniu. A wiatr dzwonił z dworu szybami i majtał gałęziami gruszy, że chrobotowały po ścianach.

Wpół odwieczersa zatupotały czyjeś kroki w sieni. Marcin Krysa przeniósł oczy z książki ku drzwiom. Sąsiad bliski, Siwy Kaźmirz, wszedł za próg. Skulony i zziębły, zaraz po witacze pogarnął się do cyganka, ażeby się ogrzać.

— Ale tyz świądził — zaczął spod pieca. — I tak mnie przejęło zimno przez te kilka stoj od chałupy, że jaz...

— I mnie kumie już od południa kości drze. Na coś się widać zanosi...

— Zaniść się — zaniecie. Takie potworacne planety, wicie, wylazą, jak w lecie przed uliwą. I zrywto się wiater, — o, słysycie, jak się tłuce?

Zasłuchali się obaj w ciszę chałupy i spoza niej dołapywali stłumione hałasy i pogwizdy rozbaraszkowanego wiatrzyka. Gospodarskie czujne ich oczy poszły razem w uważnem patrzeniu na kalenicę stodoły, żeby wymiarkować o sile wiatru, i czy aby, zaraza, krzywdy jakiej w poszyciu nie zrobi. Na szczycie stodoły widać było wyraźnie, jak wznosiły się pęki snopków i trzepotały w nagłych podrygach. Martwa kalenica — ożyła.

— No, i jak tam, kumie, nie bedziecie cekali ze stawianką? — napoczał pogwarkę Siwy Kaźmirz. Kolonję miał pobok Marcina, to go juścić musiało żywo obchodzić, co sąsiad zamyśla z wiosną, której niedługo przecie czekać. Bo już z wiosną ruch pójdzie tam na nowem wedle drogi, pobudynki wyprowadzać się będą na schwał. Marcin Krysa przenosi się ze wszystkim na kolonję, gdzie i wygodniej i pożyteczniej. Juści, że pożytecznie. Dogład jest akuratniejszy w polu, nie trza się będzie wlec do roboty tyli kawał, taka wygoda w paszeniu, w zwózce, we wszystkim. A jakie ogrody dadzą się wprowadzić, jaki sad pod zachód słonka może się rozkrzewić na pszennej ziemi. To niedziwota, że Marcinowi Krysie tak śpieszno ciskać stare obręby, zwłaszcza, że i ma sporo tej materji, co uciążliwszy nawet zamysł dopomoże zmajstrować. Jemu to zawsze łatwiej, niż komu.

— Już na wiesne rusycie robote, prawda? — Siwemu Kaźmirzowi pilno się było wywiedzieć, jak i co. Nie ino on jeden ciekawił się planem Marcina Krysy. Przecie każdyby trzy razy pomyślał, zaczemby śmiał chwycić za taki zamysł, co

i w dobry czas bywa ciężki w zrobieniu, a cóż dopiero teraz. W taką bidę niestrzymaną.

I po chwili Marcin Krysa rozłożył przed sąsiadem ten plan ze stawianką.

— Bo wicie, kumie, tak...

Drzewo na pobudynki, majstry do stawianki i wszystko, co potrzeba potem, już zgodzone, umówione, pozadatkowane. Pieniędzy gotowych mało wiela się ma, na grubszy rozechód pewnością ich nie pozabraknie, a nie starczy, to na to znajdzie się rada. Dwie spasioe świnię są już na sprzedaż. I krów ze dwie można zepchnąć. O, w stodole nie się nie utrwoniło, cały zbywający sprzęt z roku będzie stał do rozpensu. Wystarczy, napewno wystarczy.

— Mówicie, że nie wydołę, że za nie utrwonię chudobę? Ej, nie boje się. Nase jest tanie, ale i kupne staniało.

Zatopili się docna w obrachunkach, w poręcznych zamysłach, w przyjacielskiej, serdecznej naradzie. Z zakąci wylał chyłkiem mrok i gramolił się po chałupie. Owijał się wokoło gratów i wpędził zapanował, pajęczynie podobny. A w mrok na dworze wszywały się gwałty wichru, mrok mięsili i roztrącały krzepkie napędy niewiadomej siły — i raptem jeszcze zadudnił znany głuchy, groźny głos.

Gadka zerwała się w połowie zdania. Obaj podbiegli do okna i ujrzeni przez blade szybki kurzawę planet nad oborą. A wśród nich migotł przez pół nieba. W uszy coraz wwiereł się ten znany, groźny głos. Popatrzyli na siebie w zdumieniu.

Z trzaskiem, zziębła wpadła do izby Krysina.

— To wy tu siedzicie i nie wita nic, co się na świecie robi? Kuniec świata prawdziwy. Wichura, świata nie widać, od Świętego Krzyża wali chmura, grzmi. Pierony biją! — W blasku zapalanej gromnicy przeraźliwie blada, przeleciała jej twarz wykrzywiła się niedopoznania.

Chłopy wyskoczyli na dwór. Koło węgla zamietło Siwym Kaźmirzem tak, że nie mógł kroku postawić. Marcin Krysa uczeplił się sztachet i patrzył, nie nie rozumiejąc z tego wszystkiego. „W zimie — pierony!” — mamrotał, oślepiiony razpo raz straszliwymi błyskawicami, rozmigotaniem od zachodu i północy. Huk bębniący, turkot nad głową, wycie wichury, noc czarna, jak smoła po każdym łysnięciu — i ta namolna pamięć o zimie, ten śnieg pod nogami, śnieg bijący po twarzy, — wytrącały myśli z łożyska. Ścierpły ciała i sterczały przyklejone do podpór. Strach padł.

Raptem „Jezus, Marja!” — wydarło się obom z gardzieli. Jakby ziemia się rozdarła koło nich. Przeraźliwy huk i straszna siła starła obu i wywaliła nawznak. Kiedy się podnieśli — wszystko koło nich było jednym wielkim płomieniem. Ostatkiem pogruchotanych sił dźwignęli się ze zwalów ożarzonego śniegu. Ratować! Ratować!! Wlecieli do izby. Siwy Kaźmirz zgarnął poduszki i wpechnął naręczę, siłą je wcisnął w wyciągnięte ramiona Krysiny, bezzadnej i rozlatanej po izbie w niemocie trwogi. Jeszcze zachwylił jakieś pierzyny, po drodze popchał ku wyjściu krzyczącą kobietę, i razem wybiegli na dwór. Na głowy leciały im zwity ognia ze strzechy. Strugi ognia przegrodziły już jedyne wejście do wewnątrz. A tam ze środka krzyczał Marcin Krysa wielkim głosem jakieś słowa, głużył je trzask ognia, huraganu, nawałnice grzmotów, i pochwili wypadł z płomieniska, oślepiły, poparzony, w tlejących chabach.

— Bydło! Ratujta bydło — z wrzaskiem leciał ku chlewom, pomylił w dymie drogę i biegł nieporadnie ku rozryczanym, kwiczącym zwierzętom. Pogonił za nim Siwy Kaźmirz i miał jeszcze tyle czasu, ażeby odciągnąć zwisłego na szandze w drzwiach stajni, gdzie rżała i tłukła się w bólu kobyła. Na oborze już ani wytrzymać. Siwy Kaźmirz zarzucił napół żywego Marcina na siebie i, jęcząc, poszukał wyjścia poza pożogę. Porwali ich jacyś ludzie, zaczęli gasić na nich szmaty, tarzać ich w stopniałym od zaru śniegu.

Pobudynki, gadzina, statki, chudoba cała, wszystek zachylek, wszystka majątność Marcina Krysę i dorobek całych lat utopiły się pod groźnym niebem. W warkocie burzy i w jęku piorunów. W otoku śniegu i mrozu.

Stopniały ze szczeniem plany i zamysły.

3.

Dogrzewa wczesne słońce wiosenne, zalewa świat potopem promieni i budzi każdy przygasły żywot. Tyle słonecznego wesela w tym roku. Tak chybko zleciał zamróż z pół. Skieczna radość wytryska naokół, że jest tak dobrze w tej wiosennej światłości. Życie ma uśmiech szeroki.

Dla wszystkich na Ocinku, ino nie dla Marcina Krysę. Dla niego nie zagląda tutaj uśmiech wesela. Gdzie tam mówić o uciechu. Odeszła światowa uciecha od niego w tamtym dniu okropnym i już nigdy nie wróci. Że tak będzie, to widać.

Dobrych parę tygodni mocuje się nazabój z uchwyciem śmierci. Mało że się srogo poparzył, że jest cały w bliznach niezagojonych i pęcherzach. Nadomiar jeszcze otworzyli się w nim jakieś słabości, pewnością z przeziębienia, bo siedzieć nie było gdzie i trza było bidę swoją rozwłóczyć po cudzych, zimnych kątach. Lekarstwa nie zradziły, pomoce różne nie naniósł pomyślnego skutku. Marcin Krysa tlał cicho i dogasał wreszcie na garści słomy w sąsiedniej izbie. Kobieta i dziecka nagotowały się na najgorsze... Żeby chociaż jeszcze tego jajka święconego doczekał.

W Wielkim Tygodniu oprzytomniał conieco, i zdawało się, że mu jest lepiej. Wszyscy przepowiadali pomyślny obrót w słabości. Słońce i piękna pora dopomoga może bidakowi, i wstanie któregoś dnia, aby dźwignąć gospodarkę z upadku. Marcin Krysa wyraźnie orzeźwiał. Świadomem okiem popatrywał na to, co się działo wokoło.

Zrana w Wielki Piątek zawołał do siebie swoich najbliższych. Bez niczyjej pomocy dźwignął się na posłaniu i usiadł. Rodzina, i kto tam nie był w chałupie pod ten czas, obśtapili go, ciekawi — czegooby chciał.

Marcin Krysa rozejrzał wszystkie twarze, uśmiechnął się, a w oczach i w wychudłych policzkach pojawiły się te same znaki, co zawsze kiedyś wróżyły o hardej woli i zamysłach ku pożytkowi. Dawnym, mocnym głosem nakazał:

— Chłopoki! Przynieście mi z koleni skibe ziemi. Ino żeby z posiłem była.

Na jednej nodze uwinęli się z posługą. Ostrożnie wnieśli na łopacie placek popielatej treści z zielonemi wicherkami młodej runi na wierzchu.

— Połóżta wedle mnie. O, tu pod ręką.

Marcin Krysa wyciągnął obie ręce ku wiotkim piórkom posiewu, wsunął palce między łożyki i jakby gładził je czy prostował najmniejszym poruszeniem. Oczy wpiły się w roztrzęsione grudy po-

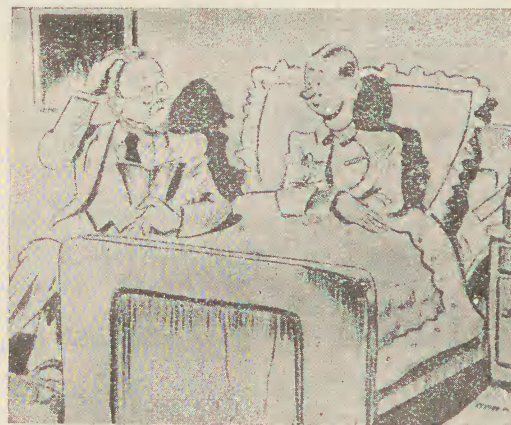
spinane korzonkami, oczy napatrzeć się nie mogły na wiosenny cud wzrostu życia. Nagłym ruchem ręki pochwycił umajoną, rodną ziemię i zwał ją silnie zaciskiem palców. Ścisnął ją tak, że aż żyły nabrzmiwały mu na skroniach. Twarz coraz jaśniejała i powlekała się blaskiem uciechy. I wnet potem ostygła w tym znaku ostatniego szczęścia.

Marcin Krysa w gospodarskiem śratanu rozstał się z wierną ziemią. Ażeby tak wcześniej i tak niespodzianie dać jej siebie w miłosierną opiekę.

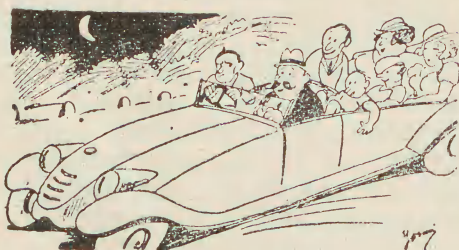
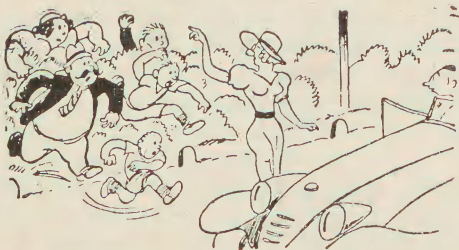
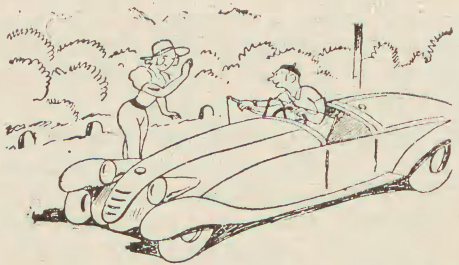
Z powodu braku miejsca nie mogliśmy zamieścić dokończenia powieści E. Estaimię. W numerze następnym ukaże się dokończenie tej powieści.

ŚWIAT SIE ŚMIEJE!

W pogoni za rekordami.



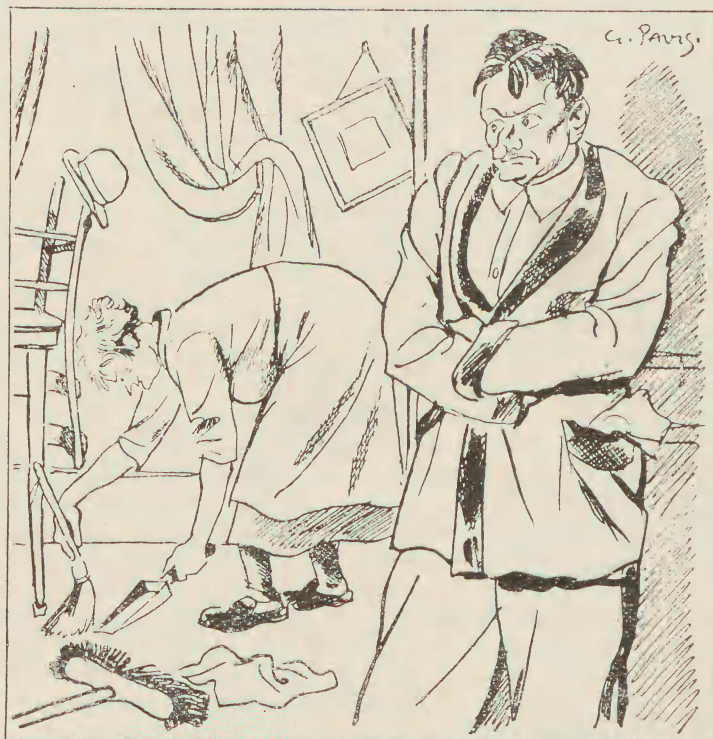
Tak wpada usłużny automobilista.



Doktór: Oj do licha, p:ńska gorączka dobiega już 42-ch stopni.

Pacjent-sportowiec: A jaki jest rekord światowy?

Wieczne zagadnienie starego kawalera.



Ożenić się z nią czy odprawić?